

Pierwszy rekonesans

Tomasz Żukowski

Rec.: Arkadiusz Morawiec, Literatura polska wobec
ludobójstwa. Rekonesans. Łódź 2018

PIERWSZY REKONESANS

Arkadiusz Morawiec, *LITERATURA POLSKA WOBEC LUDOBÓJSTWA. REKONESANS*. (Recenzent: Michał Głowiński). Łódź 2018. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, ss. 416.

Ludobójstwo w XX wieku to nie tylko Holocaust. Od rzezi Ormian do Somalii nowoczesny świat przygląda się czystkom etnicznym (i masowym masakrom na odmiennym tle), które przebiegają wedle podobnych scenariuszy. Arkadiusz Morawiec postanowił rozpoznać obraz tego typu wydarzeń w kulturze polskiej.

Świadomy toczącej się od końca lat czterdziestych dyskusji o wyjątkowości i niepowtarzalności Zagłady, zdecydował się postawić ją obok innych ludobójstw. Stwarza tym samym okazję do zarysowania panoramy literackich reakcji na zbrodnie przeciw ludzkości. To bardzo dobra i potrzebna idea, która otwiera możliwości namysłu na wielu poziomach.

Jak wypada ten rekonesans?

Co można znaleźć w książce

Tom przygotowany przez Morawca składa się ze studiów omawiających wybrane aspekty konkretnych tekstów. Każdy, kto lubi filologiczną robotę, przeczyta książkę z niekłamaną przyjemnością. Wszyscy – z zawodowego obowiązku – staramy się opanować literaturę przedmiotu i znaleźć dla interpretowanych zjawisk szerokie konteksty, sięgając możliwie najgłębiej do zbiorów bibliotecznych. Morawiec jest w tej dyscyplinie mistrzem.

Czytelnicy „Pamiętnika Literackiego” znają zapewne z doświadczenia pracę nad literaturą przedmiotu – bywa ona męcząca, a miejscami wręcz nudna. Przypadek Morawca jest inny. Ponad 400 stron jego studiów czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. Autor dysponuje imponującym warształem, a przy tym potrafi wybierać z masy dostępnych informacji te, które okazują się odkrywczymi i inspirującymi. Zestawienia źródeł, z jakimi nas zapoznaje, tworzą ciekawe panoramy. Czytelnik wkracza na nowe obszary, ale dostaje też nowe wiadomości o tym, co – wydawałoby się – zna już całkiem dobrze.

Książka porusza tematy zagłady Żydów i Romów, masowych morderstw popełnionych na chorych psychicznie oraz rzezi Ormian, a w epilogu – zatytułowanym *To się powtarza na naszych oczach* – mowa o masakrze w Srebrenicy.

Przedstawię pokrótce problematykę wybranych rozdziałów, żeby dać pojęcie o sposobie pracy autora. W pierwszym studium Morawiec przygląda się tekstom, w których pojawia się temat rzezi Ormian. Najważniejszym jest bodaj *Choucas* Zofii Nałkowskiej. Ocalała z pogromów panna Hovsepian to osoba, która „już coś widziała. Tylko z nią nie można było o tym mówić” (cyt. s. 33). Przywoływane fragmenty zainteresują każdego, kto myślał nad wypracowanym przez Nałkowską w *Medalionach* sposobem mówienia o Zagładzie. Jej szczególne widzenie, niezwykła wrażliwość na kontekst społeczny i na mechanizmy działania dużych grup, ma

zapowiedź w przekonaniu wypowiedzianym przez jedną z bohaterek *Choucas*, która stwierdza, że rzeź Ormian była straszniejsza niż wszystko dotąd, ale „nie była inna” (cyt. s. 34).

Z pierwszego rozdziału dowiadujemy się także np. o powieści Franza Werfla *Czterdzieści dni Musa Dah*, wydanej w 1933 roku w Berlinie, oraz o jej prawdopodobnym echu, wzmiance o Musa Dagħ – górze, na której kilka tysięcy Ormian skutecznie broniło się przed Turkami – w zbiorze *Co czytałem umarłym* Władysława Szlengla. Morawiec zaledwie notuje tę informację, nie poddając jej dalszej refleksji, ale mimo to robi ona wrażenie i z całą pewnością jest warta zapamiętania. To tylko jeden z wielu przykładów interesujących odniesień i połączeń, o których możemy dowiedzieć się z książki.

W literaturze powojennej historia zagłady Ormian była rzadko podejmowana i pojawiała się raczej na marginesie zainteresowań polskiej literatury i publicystyki. Wzmiankuje się ją często w pojedynczych zdaniach lub akapitach. Morawiec przytacza teksty publicystyczne, relacje z podróży oraz poezje podejmujące temat. Wśród ich autorów znaleźli się twórcy skądinąd znani, tacy jak Zbigniew Herbert czy Ryszard Kapuściński, ale także niemal zupełnie już zapomniani.

Osobne studium dotyczy *Przedwiośnia* Stefana Żeromskiego, a ściśle: epizodu w Baku, gdzie tłem akcji są rewolucja i masakra Ormian. Fragmenty o Baku – potraktowane jako zapis ludobójstwa – okazują się interesujące ze względu na wykorzystane środki. Żeromski sięga po naturalistyczne obrazy zabarwione sarkazmem i swoistą ironią. Morawiec łączy je z fragmentami mówiącymi o Nawłoci, stawiając tezę o antyutopijnym charakterze powieści. Sporo miejsca poświęca też dyskusji nad relacją między obrazem nakreślonym przez Żeromskiego a wiedzą historyczną o wydarzeniach w Baku. Wydobywa komentarze historyków oraz omawia możliwe źródła, z których czerpał informacje o tym mieście sam Żeromski.

Sześć z jedenastu studiów z tomu dotyczy Zagłady. Autor skupia się – jak w całej książce – nad filologicznymi kontekstami omawianych dzieł. W studium o Szlenglu omawia dokładnie legendę o jego śmierci, zestawia dostępne źródła informacji na ten temat oraz śledzi ścieżki kształtowania się przekonań dominujących w literaturze przedmiotu i w kulturze. Czytamy świadectwa i zapoznajemy się z ciekawymi szczegółami wojennej biografii Szlengla istotnymi dla odczytania jego wierszy – np. o próbie szukania ratunku po aryjskiej stronie. Znajdziemy tam też interesujące sugestie, jak choćby spostrzeżenie, że „strażnik kret” z wiersza *Biedny chrześcijanin patrzy na getto* Czesława Miłosza to echo obrazu Szlengla, który w *Oknie na tamtą stronę* pisał:

żydowskie robaki... krety
powinni i muszą być ślepi.

Niezwykle zajmujące jest studium na temat znanych wierszy *Warkoczyk* i *Rzeź chłopców* Tadeusza Różewicza, zatytułowane *Różewicza wycieczka do muzeum (i biblioteki)*. Okazuje się, że oświęcimskie teksty poety są w dużej mierze dosłownym cytatem z relacji Rudolfa Redera, więźnia obozu zagłady w Bełżcu, któremu udało się przeżyć i złożyć zeznania przed Wojewódzką Żydowską Komisją Historyczną w Krakowie. Zostały one później opublikowane w książce *Bełżec* (Kraków 1946). Fragmenty zaczerpnięte z tej książki znalazły się także w *Pułapce*. Morawiec stawia

pytanie o stosunek Różewicza do tego, co „tekstualne”, ale nie rozwija wątku. Świadectwa, zeznania i sprawozdania okazują się po wojnie ważnymi lekturami poety. Podobnie jak przywołane osobno opowiadania Tadeusza Borowskiego.

Dwa studia poświęcone są *Medalionom* Nałkowskiej. Noszą znamienne tytuły *O „Medalionach” Nałkowskiej. Dopowiedzenia i Coś z niczego? „Profesor Spanner” (raz jeszcze)*. Autor rzeczywiście zbiera i dopowiada – niejednokrotnie w bardzo interesujący sposób – wątki już poruszone. Polemizuje z przekonaniem, że *Medaliony* są wierne wysłuchanym przez pisarkę świadectwom. Jak przyznaje, „zmiany są (stosunkowo!) niewielkie, jednak istotny okazuje się nie ich rozmiar czy liczba, lecz jakość oraz [...] konsekwencje [...] dla wymowy ideowej utworów” (s. 189).

Morawiec wskazuje przede wszystkim stylizowanie autentycznych wypowiedzi czy wręcz cytatów z protokołów na nieporadność lub „niedowład stylistyczny”. Nałkowska jeszcze przed wojną była wyczulona na frazy „gotowe”, które w ustach prostych bohaterów wydawały się „cudze”, „przerastające” ich poziom (s. 205). Zmiany w wypowiedziach Michała Podchlebnika – Michała P. z opowiadania *Człowiek jest mocny* – świadczą o unikaniu tego rodzaju dysonansów. Równie ciekawe są porównania wskazujące na dodawanie do wypowiedzi słów „ludzie” i „ludzki”, które niejednokrotnie zastępują określenie „Żydzi”.

Czytając studia o Nałkowskiej, odnosiłem wrażenie, że pisarstwo, a więc poszukiwanie efektów literackich i sztuka tworzenia literatury, traktowane jest z dozą podejrzliwości. Autor cytuje wspomnienia, w których mowa o zainteresowaniu Nałkowskiej konkretem, np. konstrukcją samochodu – komory gazowej:

chlęnęła tę wiedzę, traktując ją jako materiał, który można i wręcz należy literacko wykorzystać, wyzyskać. [...] Zainteresowanie pisarki szczegółami dotyczącymi ruchomej komory gazowej (*Sonderwagen*) wydaje się przejawem ciekawości raczej literatki (wszak nie miała ona wykształcenia technicznego) niż członka komisji śledczej. [cyt. s. 195]

Zaraz potem przywołany zostaje nieco uszczypliwy głos Heleny Boguszewskiej: „W naszych relacjach z Oświęcimiami i Brzezinką chciała widzieć obrazy, zawsze tylko obrazy, budowane z mnóstwa szczegółów... Jak to Nałkowska!” (cyt. s. 195).

Współczesna humanistyka, choćby twórczość Michela Foucaulta – autora, który stał się już przecież klasykiem – uświadamia, że technika i związane z nią praktyki stanowią ważne źródło wiedzy o kulturze. W swoich zainteresowaniach i sposobie obserwacji Nałkowska jest raczej niezwykle jak na lata czterdzieste nowoczesna i przenikliwa. Wydaje się, że Morawiec nie docenia literatury jako sposobu poznania, w którym *mimesis* nie jest po prostu zmyśleniem, ale środkiem odkrywania i rozumienia rzeczywistości. Stąd być może zanotowane przez Wacława Barcikowskiego zdanie pisarki o *Medalionach* – „Nic nie wymyśliłam” (cyt. s. 199) – potraktowane tu zostaje jako przedmiot krytycznej dekonstrukcji. Literackość *Medalionów* okazuje się w takim świetle synonimem fałszu.

Drugi poświęcony Nałkowskiej rozdział nosi tytuł *Coś z niczego?* i dotyczy właśnie domniemanej fikcji. Autor rekonstruuje w nim wojenną historię laboratorium w gdańskim Instytucie Anatomicznym opisanego w opowiadaniu *Profesor Spanner*, a także okoliczności, w których sformułowano oskarżenie Spannera o produkcję mydła z ludzkich włosów. Formułuje przy tym wniosek: do opowiadania Nałkowskiej „z pewnością należałoby dodać więcej [...] przypisów objaśniających »prawdziwą

rzeczywistość opowiadania *Profesor Spanner*” (s. 232). Pada też zarzut, że Nałkowska „miała kłopot” z prawdą (s. 227). Warto się nad tymi stwierdzeniami zatrzymać.

Radzieckie władze okupacyjne, podobnie jak polski Urząd Bezpieczeństwa, chciały widzieć w gdańskim laboratorium „fabrykę”, co nie było prawdą, a czemu jednak – dodajmy – trudno się dziwić po traumie wojny i okupacji. Początek całej sprawie dał dziennikarz Stanisław Strąbski, który wykorzystał historię Spannera jako temat sensacyjnego artykułu.

Morawiec przyznaje, że działalność Spannera „naruszała (zapewne nie tylko formułowane przez kodeks lekarski) normy etyczne” (s. 221). Sam Spanner zeznał – i znów trudno się spodziewać innych zeznań w roku 1947 – że substancja „pod względem chemicznym będąca mydłem potrzebna mu była do impregnacji ruchomych preparatów stawowych, natomiast ze skóry sporządzano preparaty niezbędne do kształcenia studentów” (s. 226). Główny świadek, Zygmunt Mazur, któremu z powodu podpisania volkslisty groziły represje, mógł – tu autor przytacza sugestię Tadeusza Skutnika, dziennikarza „Dziennika Bałtyckiego”, z roku 2000 – być „odpowiednio przygotowany” przez organy śledcze (s. 222).

Spór dotyczy legendy o produkcji mydła z ludzkich włosów, którą czytelnicy połączyli z tekstem Nałkowskiej, i wyobrażenia, które stało się symbolem. Głębiej – sposobu, w jaki literatura opisuje rzeczywistość.

Jak to w takich przypadkach bywa, u Nałkowskiej literackie obrazy mają swoje znaczenia. Morawiec nie zajmuje się nimi programowo. W jego ujęciu prawda dotyczy przede wszystkim – jeśli nie jedynie – faktów. Zaczniemy w takim razie od faktów. Zdaniem Morawca, Nałkowska dopuściła się przekłamania, a autor wyciąga ten wniosek ufając obronie Spannera i nie ufając zeznaniom Mazura, choć obaj byli w podobnej sytuacji: ratowali samych siebie, jeden przed sądem w Hamburgu, drugi – w Gdańsku. Jerzy Kornacki, który tuż po wojnie przeciwstawiał się traktowaniu laboratorium jako fabryki i któremu Morawiec wierzy, notuje ironicznie, iż „śledztwo wykazało na szczęście, że dr Spanner, jak najbardziej prywatnie, czyli dla potrzeb anatomicznych, zarządził fabrykację – żeby mieć do szorowania stołów, podług itp.” Czyli jednak.

W samym opowiadaniu nie ma nic o fabryce mydła. Nie jest ono ilustracją też Strąbskiego ani też nie zostało napisane po to, by dostarczyć dowodów oskarżycielom Spannera. Jest inne i osobne. Znajdziemy w nim szczegółowy opis laboratorium, przedsięwzięcia o niewielkiej skali, które Nałkowska wybiera ze względu na to, że dużo mówi o kulturze – o tym, że faszyzm nie był ekscesem, ale wpisywał się w mieszczański etos. Właśnie o tę gospodarską zapobiegliwość znanego profesora głównie tu chodzi.

Nałkowska posługuje się środkami literackimi – pisze opowiadanie. Traktuje literaturę jak sposób poznania. Występowała zresztą zawsze jako pisarka i przy tym intelektualistka, nie jako dziennikarka czy reporterka. Jeśli zastanowić się nad jej tekstem, prowadzi on do podobnych wniosków jak te, które w formie filozoficznej rozwijali w tym samym czasie Theodor W. Adorno czy później Hannah Arendt. Przypis o okolicznościach, w których Nałkowska poznała laboratorium profesora Spannera, jest niewątpliwie ważny, a jednak tytuł tego przypisu, *Coś z niczego?*, sugerujący, że tekst Nałkowskiej to rodzaj wydmuszki, mającej niewiele wspólnego z rzeczywistością, jest nieuprawniony. *Medaliony* nie mają „kłopotu z prawdą”,

odslaniają ją, tyle że na sposób, o którym Morawiec z niewiadomych powodów nie chce nic wiedzieć.

Czego w książce nie znajdziemy

Tytuł tomu Morawca, *Literatura polska wobec ludobójstwa. Rekonesans*, rozbudza nadzieje. Niestety, prezentowane tam studia, bez cienia wątpliwości cenne i interesujące, nie dają wstępnego rozpoznania problematyki ludobójstwa w polskiej literaturze. Pójdźmy za wojskowym terminem – rekonesans pozwala zdobyć wiedzę o polu walki i rozmieszczeniu sił przeciwnika. Jak pisali Niccolò Machiavelli i Carl von Clausewitz, strategia jest nauką o człowieku. Żeby wygrać, trzeba zrozumieć działania wroga na polu walki. Zwiadowca musi mieć zatem umysł generała, innymi słowy: zinterpretować to, co widzi. Generał, który rozpocząłby działania na podstawie informacji dostarczonych przez Morawca, zagubiłby się z kretesem.

Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że Morawiec stawia sobie zadania filologiczne i programowo nie wchodzi w interpretację omawianych zjawisk. Nie dowiemy się zatem, jak zdaniem autora pokrewieństwo między obrazami kreta u Szlengla i Miłosza może zmienić nasze rozumienie wiersza *Biedny chrześcijanin patrzy na getto* ani co może znaczyć wykorzystanie przez Różewicza tekstu Redera w słynnym *Warkoczuku*. A przecież w obu przypadkach spostrzeżenia przedstawione w *Literaturze polskiej wobec ludobójstwa* aż proszą się o komentarz interpretacyjny. Co więcej, namysł nad ich sensem może w wielu punktach zmienić nasze rozumienie konkretnych utworów, a także wpłynąć na postrzeganie szerszych zjawisk.

Autor ma pełne prawo zatrzymać się w miejscu, które uzna za stosowne. To oczywiste, że aby zabrać się w ogóle za pracę rozpoznawania stosunku polskiej literatury do ludobójstwa czy ludobójstw, trzeba najpierw wyznaczyć korpus tekstów, do których będziemy się odnosić, wskazać i zestawić interesujące nas fragmenty. Morawiec robi to po części, ale niezwykle wybiórczo. W rozdziałach książki, jak w świetle punktowego reflektora, oglądamy fragmenty – ale zawsze jedynie fragmenty – dużo szerszego pola, niekiedy, jak w przypadku *Zagłady*, zaskakująco wąskie i ograniczone. Nie dowiadujemy się niczego o ich ewentualnym powiązaniu, o wstępnej chociażby i prowizorycznej mapie obszaru, o który pytamy.

Nie wiem, czy tytułowy problem da się zarysować jako problem czysto filologiczny i zamknąć wyłącznie w domenie historii literatury. Kwestii ludobójstwa i ludobójstw nie sposób w polskiej kulturze adekwatnie zrozumieć bez kontekstu dyskursywnego i społecznego. Literatura to przecież część komunikacji społecznej. W tym przypadku fakt ten jest bez porównania ważniejszy niż w innych sytuacjach, dajmy na to kiedy zajmujemy się formami w poezji eksperymentalnej.

Zagłada ma w Polsce zupełnie odmienny status niż wszystkie pozostałe ludobójstwa. Nie tylko dlatego, że jej ofiarami byli polscy obywatele i że dokonana się ona w Polsce. Opowieść o niej pełni specyficzne funkcje społeczne i rozgrywane w niej stawki dotyczą nie tyle ofiar, ile samych opowiadających. Dlatego już w czasie eksterminacji polskich Żydów mówienie o niej budziło tak duże emocje. Sytuacja ta trwa do dziś.

Powiązanie narracji o *Zagładzie* z kwestiami polskiej samooceny i tożsamości sprawia, że te same środki literackie użyte do opisu podobnych wydarzeń mogą mieć w kulturze sensy zasadniczo odmienne niż w przypadku innych masowych

zbrodni. Chociażby najbardziej oczywisty – uniwersalizacja. Z ofiar czyni ona ludzi, w intencji takich samych jak my, ale w praktyce mówienia o Zagładzie niejednokrotnie odziera ich z cech, które stały się pretekstem wykluczenia i wyzwalczem agresji. Zniesienie różnicy bywa wtedy równoznaczne z ukryciem przemocy i zabezpiecza nie tyle ofiary, ile samych opowiadających.

Trudno powstrzymać się również od pytania, co polski stosunek do Zagłady mówi o polskim stosunku do ludobójstw w ogóle. Morawiec cofa się przed stawianiem kwestii w ten sposób, słusznie obawiając się nieuprawnionych uogólnień. Nie ma jednego stosunku literatury polskiej do Zagłady ani do żadnej innej kwestii. A jednak zatrzymując się wyłącznie na przypadkach poszczególnych i nie próbując pytać o dominantę tytułowego „wobec”, tracimy z oczu jego główny nurt, który przecież istnieje i którego istnienia wszyscy doświadczamy.

Upraszczać, ale chyba nie aż tak bardzo, można powiedzieć, że gdy chodzi o Zagładę, empatia wobec ofiar napotyka – w głównym nurcie kultury – granicę, którą jest rozpoznanie wykluczenia jako cechy polskiej kultury dominującej. Czy ten fakt łączy się z przedstawianiem innych ludobójstw?

Nie tak dawno, w trakcie kryzysu migracyjnego związanego z wojną w Syrii, prawicowe media sporo pisały o zagrożeniu, jakim są imigranci z Bliskiego Wschodu. Mieliliśmy do czynienia z ludźmi, którzy uciekali przed groźącą im śmiercią, wymierzaną na ślepo w szaleństwie wojny domowej. To może nie ludobójstwo, ale blisko. Kampania medialna uruchomiła silne lęki. W efekcie Polska nie przyjęła uchodźców i nie powstał tu społeczny ruch na rzecz pomocy ofiarom. Przedstawiano ich przy tym za pomocą figur zaskakująco znajomych: jako zagrożenie kultury, nosiciele chorób, groźnych obcych *par excellence*.

To oczywiście fakt pozaliteracki, ale także istotny symptom charakteryzujący polską kulturę. Warto o nim pamiętać ze względu na to, że ofiary – gdy zbliżają się zanadto – przybierają w wyobrażeniach postacią bardzo przypominającą nienawistne wyobrażenia o Żydach.

Skoro tak, co dzieje się, kiedy w przypadku ludobójstwa „daleko” zmienia się w „blisko”? Rzeź Ormian, o której Morawiec pisze w dwóch rozdziałach książki, jest pewnie najlepszym materiałem do tego rodzaju namysłu. Wtedy jednak należałoby zapytać, na ile odległe ludobójstwo staje się naszą sprawą, na ile jest orientalizowane jako znak peryferii, jak ma się do kategorii obcości. Nie da się też uniknąć pytania, jak – np. u Żeromskiego – wydarzenia w Baku mają się do opisów żydowskiej biedoty w Polsce. Nie znam odpowiedzi na te pytania, ale żeby zarysować pole, o którym chce mówić Morawiec, trzeba je koniecznie zadać. Te i pewnie jeszcze wiele innych.

Abstract

TOMASZ ŻUKOWSKI Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences,
Warsaw

ORCID: 0000-0002-9787-9626

THE FIRST RECONNAISSANCE

Arkadiusz Morawiec's book *Literatura polska wobec ludobójstwa. Rekonesans (Polish Literature towards Genocide. Reconnaissance, 2018)* is a collection of studies about the texts on the Holocaust and other crimes of genocide (from the slaughter of the Armenians to the massacre in Somalia). The author fo-

cuses on a philological analysis, brilliantly tracing selected threads and presenting their origins, though refraining from interpretation. The studies, referring to particular texts or their pieces, do not form a panorama of the topic in Polish literature. In a similar mode, the book neither poses questions about the relations between narrations of the Holocaust and the narrations of other acts of genocide (those that took place away from Poland), nor about cultural circumstances of such narrations.

<http://rcin.org.pl>